



© 2022 Studio 333 Archives

<https://studio333.net/archives>

Tomasz Bot

Biotektor

Creative Commons

Zawarte w tej publikacji prace tekstowe, zdjęciowe i dźwiękowe są chronione licencją

Creative Commons Attribution-NonCommercial-NoDerivs 3.0 Unported License

Publikacja i dystrybucja: Studio 333 Archives

<https://studio333.net/archives>

Okładka, seria zamykająca, zdjęcie, skład: Bartłomiej Kuźniak

Graffiti: ZłotWiek

ISBN: 978-83-966800-0-6

Biotektor w formie audiobooka jest dostępny na:

<https://studio333.net/biotektor>

a także na [Archive.org](#), [YouTube](#) i [Bandcamp](#)

Tekst i głos: Tomasz Bot

Muzyka: B333 i B333 feat. Afrika Brown & Frank Parker

Produkcja, nagranie, edycja i mastering high definition:

Bartłomiej Kuźniak, [Studio333.net](https://studio333.net)

Biotektor

Tomasz Bot

Rok 2098. Świat po konflikcie atomowym - zdewastowany i pełen pyłu. Jednym z miejsc, które ocalały z konfliktu, jest Zgor, obejmujący tereny dawnego województwa lubuskiego. Pożoga nie zniszczyła Zielonej Góry ani okolicznych lasów. Zgor stał się bastionem ocalałej przyrody i racjonalnych stosunków społecznych. Tutaj udało się zachować prawo i porządek. Co więcej, za priorytet uznano utrzymanie wysokich standardów moralnych i estetycznych mieszkańców Zgoru. Miejscowi odrzucają przemoc, nienawiść i pracę fizyczną. Celebrują pozytywne wartości i równowagę na wszystkich możliwych płaszczyznach.

Nowa religia - wiara w przenajświętszego Wingrona - każe im kultywować zdrowe odżywianie i etykietę opartą na uprzejmości i drobiazgowej dbałości o ciało, które ma uzupełniać wewnętrzne piękno Zgorzan. Granic tego państwa-miasta strzegą roboty wojenne, pilnując, by zdziczałe hordy mutantów i degeneratów z dawnego Poznania, Gorzowa czy innych spalonych ziem nie najechały jego terytoriów. Zgor - winny krzew wyrosły na popiele, głosi jedna z Prawd z Kosza Wszechrzeczy Jasnych. Kto nie jest mu oddany, nie tworzy nowego jutra. Kto nie tworzy nowego jutra, staje się pieśnią przeszłości.

Nazywam się Karbon i jestem głównym mechanikiem Zgora. Co to oznacza? Mniej więcej tyle, że kiedy psuje się kelner podający ministrowi płonące banany, ja naprawiam jego obwody, a kiedy sztuczna przedszkolanka

uderzy dziecko, ja muszę ją schwycić i własnym butem zmiażdżyć na pył jej układy scalone.

Zgor ma do mnie pretensje. Parę lat temu doszło do nieprzyjemnego incydentu. Miałem przerobić kilka wojennych robotów na personel menadżerski dla dużej firmy produkującej kadzidła i koraliki. Blaszkaki okazały się podstępne i uciekły. Kilka z nich wdarto się na festiwal Ezoteryczny, zamieniając imprezę w gejzer terroru. Zanim je wyłączyłem, byłem bez prawej ręki i prawego oka, a twarz miałem spaloną. Psia jucha, nie robota. Zgor ukarał mnie - jakbym to ja wyprodukował i spuścił ze smyczy te stalowe pierdolce. Za śmierć kobiety, której wepchnięto do przetyku matę do jogi, i zmiażdżone amulety z wizerunkiem Wingrona obarczono mnie karą pieniężną. Ale za to, że moja twarz wygląda teraz jak zabryzgana keczupem jajecznicą, co pół roku

muszę przechodzić “test użyteczności obywatelskiej”. Komisyjnie, w garniturze, z dokrewnie wtłoczonym kijem uległości i szacunku w dupie. Jeśli go zawalę, zostanę wydany poza granice Zgoru lub oddelegowany do pracy w fabrykach, gdzie do śmierci będę produkował kocią karmę. Tak czy siak, siarczysta chara w życiorys.

Ponadto okrojono mi też kartę swobód obywatelskich. Nie mam wstępu na parady, koncerty, do świątyń, basenów, do spa, na wszech jogę, na mantrotekę, na bale Białych Wstęg Energii czy Winobranie. Od dawna czuję, że jestem problematyczny. Patrz tu na mnie nieufnie i z trudem. Zrobiło się jeszcze gorzej, kiedy pół roku temu sfiksowana maszyna policyjna postrzeliła mnie w głowę. Przeżyłem, ale mam dziury w pamięci. Zamiast wydawać pieniądze na leczenie, władze miasta zainwestowały w metalowo-elektroniczny panel, którym uszczelnili

mi głowę. Dwa w jednym: zastępuje ubytek, a poza tym pozwala na łączność przedstawicieli magistratu z moim mózgiem. No i dzięki temu nie muszą już mnie oglądać. A wiem dobrze, że brzydzi ich wszystko, co związane z pracą - smar, pot, wysiłek; śrubokręty czy kaski bezpieczeństwa. Więc wbijają SMS-y wprost do mojej głowy.

Niedawno władze Zgoru uznały, że mogą mi w tym roku anulować konieczność zaliczania testu. Wystarczy, że zezłomuję pewnego robota, któremu zachciało się przebrać za człowieka i wtopić w jędrną i czystą tkankę naszego miasta. Podobno był wzorowym sekretarzem w ratuszu. Któregoś dnia sterroryzował biuro za pomocą zszywacza, a potem uciekł.

Zgor ma nieustanne kłopoty z robotami, bo mechanicy praktycznie wyginęli. Kiedyś mieli co prawda

maszyny, które naprawiały inne maszyny, ale i one były wadliwe, więc przez chwilę była tu niezła mielonka. Tego od spinacza mam załatwić - w dowolny sposób i dowolnymi środkami, bez trzepania wokół krwawej piany z przypadkowych ofiar. Ale to sprawa szczególnej wagi. Nie mogę nawalić. Robot nie może uciec. Zgor musi dostać ponumerowane śrubki i kabelki robo-truchła. Mam go rozwalić albo mam przesrane. Wpadka oznacza zsyłkę do fabryk lub na Pole - teren poza Zgorem. Jak wszyscy wiedzą, króluje tam kanibalizm, anarchia i likantropia. Jestem mechanikiem, nie gliniarzem, ale posyłają mnie, bo wiem, jak działają te robo-pokraki. A poza tym sądzą, że moja mechaniczna ręka i sztuczne oko czynią ze mnie jakiś morderczy blender.

Salo szybko trafił mi na widelec. Miałem jego zdjęcie na siatkówce; wiedziałem, gdzie i kiedy bywa. Znalazłem

go w tym barze. Kawon - brudne przymierze fatalnego wystroju i bardzo mocnej wody zalatującej rozpuszczalnikiem. Lokal pełen przepierzeń, raczej ciemny, z zapachem chemikaliów unoszących się nie wiadomo skąd i nie wiadomo czemu. To jedyna taka nora w tym mieście. Podobno władze pozwalają jej trwać, żeby namierzać i inwigilować tych, co się tu złączą. Bo jakaś opozycja się tu kręci. Tak mówią. Druga wersja głosi, że zostawili tę spelunę, żeby się tu mutanty i wszelki podejrzany element pozapijał na śmierć. Stąd właśnie - jak podejrzewają niektórzy - tania woda o raketowej mocy. Może obie wersje są prawdziwe. Nie wiem i osobiście mam to w dupie. Dla mnie liczy się Salo.

Był tam już po 18-tej. Ja przyszedłem pół godziny wcześniej. Zjadłem śledzia w śmietanie i bigos, podane tu jako jedno danie i na zimno. Smakowało jak rzygi, ale

przynajmniej nie były to kietki w nektarynkowej zalewie czy inne fit smart artystyczno-styropianowe żarcie dla szczęśliwych Zgorzan. Teraz sączę piwo i po prostu siedzę. Jedna butelka wystarczy. Na ogół po kilku wyczula mi się wzrok i nos; robota lepiej idzie, czas szybciej mija. Ale dziś trzeba skasować tę buntowniczą konserwę, więc lepiej trzymać się prosto. Nie ma tu zbyt wielu gości. Kilka poszarzałych postaci leje w siebie alkohol. Brak kotów w tym lokalu przyjmuję z wielką ulgą.

Salo rozpoznaję od razu. Wygląda gorzej niż na zdjęciu - a na zdjęciu wygląda gorzej niż jakakolwiek znana mi osoba. No, może poza mną samym. Nie mam pojęcia, czemu wybrał taką pokraczną fizis. I nie chcę go oglądać przez tydzień czy ile tam, czekając, aż będę mógł z nim zostać sam na sam. To trzeba załatwić szybko; zrobić kupkę i podmyć dupkę. Zapomnieć i iść do domu. Robot

ma małe, tępawe oczka i głębokie zakola, bardzo równe, jakby przejeżdżał sobie po głowie gorącym żelazkiem. Jest krępy i jakiś płazowaty. Biały podkoszulek bez ramiączek, szczeciniasta bródka i twarz-purchawka. Wygląda anemicznie, słabo, niehigienicznie i nieaseptycznie. Nie tak sobie wyobrażałem kamuflaż ex-maszyny urzędniczej. Jego kumple są wysocy, łysi i rośli w barach.

Czuję, jak drga mi powieka; w głowie szumi poprzednia sprawa - dwa tygodnie biedzenia się nad mechanicznym dentystą, który zeszlifował pacjentowi pół twarzy, a potem wyskoczył przez okno i pobiegł przed siebie. Nie zdążyłem się nawet wyspać. W telewizorze, zawieszonym w rogu ponad stolikami, prezenterka, Opra Ametyst, tryska emocjami :

- Strajk kabareciarzy paraliżuje kraj. Na razie nie widać sposobów, którymi można by go zażegnać. Módlcie się,

proszę, do najczystszeo Wingrona i soków jego, które znoszą podziały, fermentują zgodą i uszczelniają pęknięcia, by i tym razem wskazały nam drogę.

Nagle pod mój stół przycłapuje jakiś facet. Patykowaty i zasuszony. Z czołem porytym bruzdami. Trochę jak Konefon Gorb - aktorzyna reklamujący tegoroczne Winobranie, amant i mistrz serenady - tylko pędzony na gorszym alkoholu, no i lekko sflaczały. Typ ze strużką potu pomiędzy górną wargą a nosem.

- Co tam? - zagaja.

- Pośmiały się, ale nie ma z czego.

- O, to może ja opowiem coś zabawnego - podejmuje i szybko siada naprzeciwko. - Można, prawda? - pyta mimo że już siedzi... I wtedy widzi. Sklejone alkoholem powieki otwierają się. Zatrzymuje na mnie spojrzenie na dłużej; przez chwilę wygląda na prawie trzeźwego.

- Zakochałeś się? - rzucam.

- Nie, ale jest tu na co popatrzeć. O mój wingronie! Dzieło sztuki. Pewnie nawet muchy boją się po niej chodzić, co?

- Zgor wytępił już muchy, człowieku. Od pół roku nie znajdziesz już żadnej w tym mieście. Nie były dość wykwinne. Moja żona pracowała przy odmuszaniu. Lubiała to.

- Tak? I co u szanownej małżonki?

- Nie wiem. Zniknęła gdzieś z nauczycielem wszech jogi. - Zerkam na tego tu, ale jednocześnie mechanicznym okiem - z szerokokątnym obiektywem - taksuję Salo. Siedzi z jakimiś dwoma kolesiami. Pije piwo. Konefon nadal gapi się na moją twarz - zupełnie otwarcie, z rozdziawioną gębą, jakby się wpatrywał w zaćmienie słońca. Niech się gapi, głupi flet. Mam piękne kępki jasnych włosów, nierównomiernie rozmieszczone na

placku różowej łysiny, która - gdy pada na nią słońce - świeci się jak benzyna w kałuży. I kilka fajnych zszyć zrobionych stalową nicią.

- Nooo, ja w każdym razie kawał mam. Póki kabarety zawieszone, jak znalazł będzie. - Konefon jest nieźle zalany i wygląda na natręta, ale przystania mnie tu trochę. Umożliwia bardziej naturalną obserwację Salo. Niech siedzi. - Co robi traktor u fryzjera? - pyta, a oczy mu świecą; widać, że lubi mieć publikę.

- Nie wiem.

- Warkocze.

Ale jajcarz. Zaraz mi gumka w majtkach strzeli. Widzi, że dowcip chybił celu, ale naciera dalej.

- Co robi żul przy komputerze?

- Nie ma już żuli - odpowiadam. - Było paru, ale nagle zniknęli. Razem z muchami. Ale chwila. Muszę się napić. - Wstaję i idę do baru, kierowany jakąś wczesną fazą lęku,

robiącą mi z nóg dwie rozgotowane parówki. Powoli dociera do mnie, gdzie mogę skończyć, jeśli Salo mi się wymknie. Wcześniej była to tylko idea, myśl w głowie. Teraz jest to uczucie głęboko wnikać w ciało. Staję przy barze. Jednocześnie zerkam na robota. Ten najwyraźniej lubi spotkania towarzyskie i całkiem zdrowo chleje. Właśnie przy jego stoliku rozpętuje się dyskusja. Ktoś się śmieje głośno. Ktoś niechętny strąca butelkę. Słowem, nasiadówka w toku.

Barman nachyla się w moją stronę pytająco.

- Setkę - mówię.

- Raz?

- Raz-dwa.

Nie lubię być nieuprzejmy, ale to nie mój dzień.

Barman - para wielkich żabich przekrwionych oczu wbitych w wątle gliniaste ciało - nalewa mi, właściwie na mnie nie patrząc. Widział już wszystko, wszystko już

słyszał, na nic nie czeka. Jak się okazuje, nie wszyscy kochają Zgora i jego nakaz powszechnej szczęśliwości. Na szczęście nie wszyscy. Zgor to bydlę. Jego pysk - urzędy, komisje, instytucje kontroli - naprawdę potrafi ugryźć. To przez nich teraz się boję. Zabawne. Przeżyłem już pewnie dwie trzecie swego życia i nie bałem się zbyt często nawet w tych ciemnych czasach, kiedy nie było jeszcze miasta, za to królowały głód i przemoc. Teraz, kiedy mam już swoje lata, boję się tych zjełczałych fletów, którzy brzydzą się widoku śrubokręta w dłoni czy pękniętej rury. Odkryli Boga i kiełki. Wtykają jedno i drugie ludziom do ust, wmawiając, że to ambrozja.

Wychyłam wódkę. Wchodzi jak gorąca śruba. Jak wiertło. To mi rozpala żołądek, rozrzedza mulaste piwo. Z ogniem w bebeczach prę do stolika. Ja wam wszystkim pokażę. Ja wam pokażę, piździelce. Kątem oka

nadal widzę Salo. Siedzi jak wcześniej, rozwalony na krześle jak kawał słoniny na patelni. Wygląda, jakby nie zamierzał opuszczać klubu przez tydzień. Jest dziwnie pewny siebie. Myśli chyba, że wszystkich nabierze. Że będzie grał człowieka. Tylko czemu nie wtopił się w tłum? Mógłby przecież paradować w białym lnianym dresie i żwawo przemierzać deptak, uśmiechając się do wszystkich i pozdrawiając ich w imię Wingrona Najwyższego. Czemu woli siedzieć w szemranej, zaplutej norze, wygrywając konkurs na jej najbardziej podejrzanego klienta? A jego kumple? Wiedzą, że gadają z blaszakami, czy nie mają o niczym pojęcia? Dużo pytań, żadnych pewników. Zgor mówi mi tylko tyle, ile musi. Twarz Konefona - jak pacnięcie nudy - wita mnie tępym samozadowoleniem.

- Dobra - rzucam - no to co z tym kawałem?
- Z tym żulem przy komputerze? - pyta tamten.
- No, co z tym żulem przy komputerze?

- To ja pytam właśnie - odpowiada Konefon. - Pytam, czy wiesz.

- Rozumiem. W takim razie ja nie wiem. Więc co z nim? Co tam robi?

- Grzebie w koszu. - Konefon chichocze. Lub charczy. W każdym razie manifestuje rozbawienie. Ale śmieszne - myślę. Dostaję przez niego ataku kaszlu.

- Wszystko w porządku? - pyta, nadal pochrumkując radośnie.

Splukuję dowcip końcówką piwa. - Tak. Suchy kaszel. Dość już tych kawałów.

Jakaś pijana dziewczyna idzie między stolikami. Konefonowi błyskają oczy; nawet przestaje charkotać. Zauważam dopiero teraz, że na poplamionej koszulce - może nawet przedwojennej - ma napis MOJA ŻONA MYŚLI, ŻE JESTEM W SOPOCIE. Nie wiem, co to Sopot, ale brzmi jak brudna część fekalnego żartu. Za to podoba mi się

panująca tu swoboda w doborze stroju. Na zewnątrz wszyscy dostalibyśmy mandaty.

- Ładny tyłeczek - przyznaje Konefon, ledwo hamując dopływ śliny. Mówi wprost do niej.

- Wiem - odpowiada dziewczyna blado i bez entuzjazmu. - Ale jest połączony z tym. - Środkowy palec spoczął na jej czole.

Jest ładna, zgrabna, silnie nasączona alkoholem - pewnie już od paru lat. Smutne, szare oczy.

- Nie przeszkadza mi to - mówi Konefon, nie do końca wiedząc, co miała na myśli.

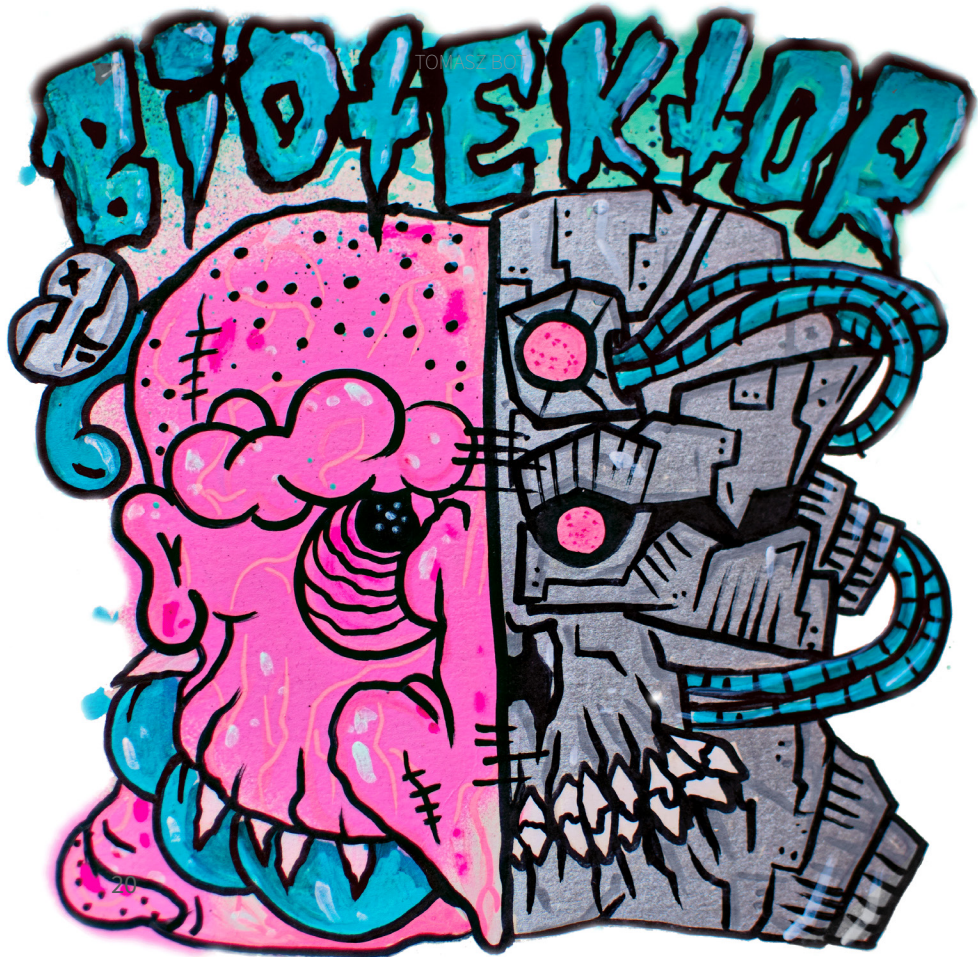
- Za to mojemu mężowi tak.

- Przykro mi. Na miejscu męża doceniłbym każdy gram pani... jestestwa. - Ostatnie słowo wyszarpuje z siebie z jakimś wysiłkiem, jakby świadomość już mu się pruła, a przymus podrywania pozostał.

- Bardzo pan poetyczny z języka, ale z twarzy to już mniej.

- Ale to w twarzy mam schowany ten poetyczny język. Mogę pani pokazać. Właśnie tam schowany. - Wyciąga język - obscenicznie długi- i zwija w różową rurkę o średnicy jednego milimetra. Ale to nie koniec. Rurka wysuwa się dalej. Tak ordynarnego podrywu nie widziały chyba nawet czasy przed wojną, kiedy podobno panowały tartaczne obyczaje - różnąc temat czym się da i niech wióry lecą. Nagle zrolowany jęzor ma już długość słomki do napojów. Dębieję. Ki chuj?! Jak on to robi? Dziewczynę też zatyka. Wygląda to tak, jakby Konefon rodził poprzez usta jakiegoś robaka. Jego twarz kompletnie zastyga. Jest dziwnie woskowa. Rusza się tylko zwinięty jęzor - dookoła własnej osi, jak wiertło, tyle że z pustą przestrzenią pomiędzy różową tkanką. Niby chce go pokazać dziewczynie, ale... Nagle patrzy wprost na

mnie. Jego oczy wyglądają inaczej. Z rurki-języka coś strzela. Czuję ukłucie. Potem nic. Ciemne nic.



Wybucha wilgoć. Otwieram oczy. Wzdrygam się. Mam mokrą twarz; ktoś właśnie oblał ją ciepłym piwem. Czuję, jak strużka ścieka mi po klatce piersiowej. Stoją wokół mnie: Konefon, Salo i dwóch jego kumpli. Jesteśmy w małym pomieszczeniu. To chyba jakaś piwnica. Jedynym źródłem światła jest goła żółta żarówka. Zoomuję Konefona - poważny, wyprostowany i trzeźwy. Boli mnie głowa i czuję się słabo, ale mówię do niego:

- Niezłe przedstawienie. Wspaniale zagrałeś pijaka. Dałbym ci Ogara.

- A co to, kurwa?

- Kiedyś podobno dawali takie nagrody aktorom.

- I naprawdę dałbyś mi? Jestem wzruszony.

Mam związane nadgarstki. Siedzę na jakimś starym fotelu. Dookoła mnóstwo piwa - w skrzynkach, na półkach. Poza tym stoi tu jakaś zamrażarka, a po kątach

wala się trochę gratów: kabli, tekturowych podobizn Pani Prezydent i jakichś papierowych ścinków.

- Pewnie. Do gęby bym ci wetknął - mówię dziarsko, ale mam wrażenie, że żołądek, jelita i serce poskręcały mi się w jeden ciasny węzeł. Kimkolwiek są te typy, oni tu rządzą. - Jako podrywacz też byłeś świetny. Biłbym brawo, gdybym nie był związany.

- Nie udawałem. Brałbym się za nią aż by się kurzyło.

- Napalony robot? To bardzo ludzkie. A nawet retro-ludzkie, bo Zgorzanie już tego nie robią. Nie podrywają się. Parzą się w jakiś dziwny sposób - skręcają wiązki astralne, wmasowują sobie olej życia w meridiany czy wdmuchują jakiś perfumowany sosnowy pyłek za pomocą piszczałki w różne otwory ciała.

- Widziałem kiedyś. - Konefon Wzdryga się. - Prawdziwe perfumowane gówno.

- Zgadza się - przyznaję. - Dobra, a czym mnie postrzeliliś?

- Bez obawy. Dla takiego pancernika jak ty to rumianek. Będziesz żył.

Wszyscy milkną. Obawy pozostają. Wtedy odzywa się Salo. Mówi powoli i wyraźnie. Głos ma przyjemny i rześki.

- Ty też jesteś dziwadłem. Robot, który ściga roboty?

- Nie robot. Człowiek.

- Taki? - Rozpościera ręce wokół swojej sylwetki, jakby ją obrysowywał, a jednocześnie stawia znak zapytania.

- Taki - cedzę.

- Człowiek podrasowany? Czy tak lepiej? Taka etykieta sprawia, że jest ci bardziej komfortowo? - Salo przeszywa mnie wzrokiem. Szparkowate wcześniej oczy otwierają się teraz szeroko, świdrując mnie przenikliwą zielenią.

- Roboty, które przebierają się za ludzi? - odparowuję. Mocno mnie związali. Nie da się wyrwać. Z bliska jeszcze wyraźniej widać, że tysi kumple Salo to istne maszyny wojenne. Mają głowy w kształcie kanistra na benzynę i pięści jak miechy. - I co, to wystarczający powód, żeby je zabić? - pyta Salo.

- Jesteś tylko sokowirówką po paru zwarciaach. Niczym więcej. Dym idzie ci z dupy, programator zardzewiał. Nie czujesz się dziwnie, parując w tej narzutce ze skóry? Albo przerabiając w ratuszu ludzi na papkę?

- Czuję się doskonale, tatku pocharatku, bo stanowię sam o sobie. I nigdy nikogo nie skrzywdziłem; no, w każdym razie nie bardziej niż musiałem. Nie wierz we wszystko, co słyszysz. Za to ten strój to kamuflaż - mówi, naciągając skórę policzka na jakieś 15 centymetrów; kiedy ją puszcza, ta powoli - z lekkim mlaśnięciem - wsuwa się na miejsce. - Najchętniej już bym go zdjął, ale

jest potrzebny. Widzisz, mamy tu coś do zrobienia. Za to ty...Ty jesteś tylko starym narzędziem, którym zeskrobują zaschnięte plamy w kiblu. Nie czujesz, że to mało prestiżowe stanowisko w niebyt uczciwej firmie?

Milczę przez chwilę. Czy to ostatni wieczór mojego życia? Czy tak się to skończy?

- Mówisz, że kamuflaż - podejmuję. - Jak myślisz, że będziesz się ukrywał w nieskończoność i nikt się nie zorientuje, że jesteś polutowany i pospawany, to wiedz, że zostałeś namierzony. Ja nie trafiłem na ciebie przez przypadek.

- A jednak ciężko powiedzieć, żebyś panował nad sytuacją, tatku pocharatku. Poza tym... jesteś taki pewien, że to ty nas znalazłeś, a nie na odwrót?

- Dopadną cię - napieram, a może to napiera odlegle szmerzący alkohol.

- No, na pewno będą próbowali. Zbuntowany człowiek jest niebezpieczny, ale robot zagraża im znacznie bardziej. Wiesz, czemu? Bo żaden z nas nie wierzy w Boga. I nigdy nie uwierzy. Nie nawróci się. Nigdy. Nie wierzę w tego zjeba Wingrona i jestem od niego wolny jak mało kto. Nie łapiemy tego wirusa.

- Ale podłapałeś za to jakiś gówniarski pomysł na życie. Zabawy w siatkę przestępczą? Chcesz rozwalić system?

- Zgor jest głęboko chory - razem ze swoim obywatelom z zapachowym mydełkiem zamiast mózgu. Nie masz pojęcia, co oni dodają do wody i żywności, żeby był spokój. Nie wiesz, jakie ratusz ma plany na najbliższe lata. I wiesz co? Ciesz się swoją ignorancją. - Robi krótką pauzę; ja oddycham nerwowo. - Poza tym pytałem wcześniej, czy nie czujesz się jak ostatnie gówno, kiedy się tobą wystugują. Tylko odpuść sobie hardy ton; wiemy, że zaczyna do ciebie docierać, że jesteś głęboko

w dupie. A więc powiedz mi wreszcie: czemu jesteś nie-wol-ni-kiem?

Zastanawiam się i z masy myślowej - spośród wielu odpowiedzi - wyłania się ta właściwa. Gryząco nieprzyjemna.

- Nie mam wyboru - przyznaję.

- Masz. Chęć zmiany jest już zmianą.

- Słuchaj, ja też nie lubię Zgora, ale jestem za stary na rewolucjonistę. Jak próbuję usiąść, strzela mi wszystko i wszędzie. Kiedyś robot wybuchł mi dosłownie w twarz. I wiesz co? Teraz migreny robią mi papkę z mózgu, a sikam podwójnym strumieniem, o ile w ogóle udaje mi się to zrobić. I co, mam, kurwa, iść na barykady? - Ponosi mnie trochę; złość zamazuje obraz w prawym oku.

- Może jednak powinienes - odpowiada Salo - Póki czujesz cokolwiek. Jesteś za stary? Na co? Za stary,

żeby być sobą? A może zbyt gówniarski? Zbyt zrośnięty z pieluchomajtkami?

Bije od niego siła. Jest też znacznie bardziej inteligentny, niż to sugerowała ta sparciata powierzchowność. Przyznaję, kamuflaż ma niezły. I tak naprawdę nie mam pojęcia, jak Zgor wpadł na jego trop.

- Jesteś kompletnie przerażony życiem. Jak to jest? Ma się wtedy jakieś marzenia? - Znowu Salo; znowu wierci.

- O czym może marzyć taka zardzewiała konserwa? - wyrzywa się kanister. - Taki miękki siur?

Napinam wszystkie mięśnie. Mam serdecznie dość tej psychoobróbki skrawaniem.

- Czemu miałbym opowiadać o sobie jakiemuś piwnicznemu klubowi spiskowemu, co?

- Bo może szczerść cię uratuje - mówi Salo.

- Moją matkę zjedli ludożercy - rzucam. - Ja wolalbym odejść inaczej. Przynajmniej we własnym domu. Na własnych warunkach.

- Jasne. I na pewno ci się uda. W końcu jesteś użytecznym członkiem społeczeństwa, prawda? Tylko czemu mają cię na czarnej liście? Czemu jesteś w ścisłej czołówce kandydatów do wydalenia poza obręb Zgora? Zastygam w ponurym milczeniu. - Oto twoja kartoteka. Odtworzę z pamięci. Naruszenie estetycznej ciągłości w mieście - 20 skarg. Nieobyczajny język - 15 skarg. Archaiczny język - 8 skarg. Brak miłości do kotów - 6 skarg. Używanie nieestetycznych narzędzi - 5 skarg. Rażący brak religijnej żarliwości - 5 skarg. Podejrzenia: niższa, mało plastyczna forma społeczna; ograniczona użyteczność i duża nieprzewidywalność. Jednostka potencjalnie groźna. Przeznaczenie: obserwować i ograniczać

prawa oraz dostęp do informacji. Deportacja za granice państwa do 2100 roku.

Przytyka mnie. Jakbym nagle miał brudną szmatę w gębie. Spuszczam głowę. Odechciewa mi się gadać. Czuję, jak przez pory skóry wypływa mi smolisty pot. W jakimś sensie od dawna czułem, że coś takiego nade mną wisi. Nie powinienem być zdziwiony. Ale jestem.

- Ojoj - odzywa się jeden z "Kanistrów", udając rzewny ton. - On się zaraz popłacze. Jego plany i poczucie bezpieczeństwa dyndają teraz powieszone za jaja. Chyba miał jednak jakąś nieuzasadnioną potrzebę polegania na wielce, kurwa, szacownym Zgorze.

- Klej wary, flecie! - warczę. Mogą mi nawet strzelić w łeb, te Konefony i "Kanistry". Co to zmieni? Mam wyrok na karku. Najdalej za dwa lata będę żart napromieniony pył i spał pod gołym niebem. Nawet jeśli dojadę

dziś tego robo buntownika - na co się nie zapowiada - zesłanie tylko się odwlecze. - Tak - przyznaję się nagle. - Sądziłem, że jestem przynajmniej dostawcą pewnych usług, przydatnym z jakichś pragmatycznych względów.

- Ja ci powiem, co sędzę o pragmatyce... - włącza się drugi "Kanister" i beka rozdzierająco, jakby chciał oddzielić grubą kreską sentymentalną część wieczoru od tej, która właśnie nadchodzi. Zanosi się śmiechem aż nim trzęsie. Po chwili śmieje się też drugi dryblas. Rżą żywo i zaraźliwie; czuję, jak się trzęsą butelki na półkach. Już dawno nie słyszałem tak mocnego, zdrowego śmiechu. W innych warunkach może nawet bym się dołączył. Ale oni są jeszcze młodzi i zdrowi, a ja - równie młody, co zdrowy, a w dodatku związany i przeznaczony na przemiał.

- Jesteś zbędnym produktem miejskiej przemiany materii - podsumowuje Salo w taki sposób, że nawet

“Kanistry” milkną. - Jakie to uczucie wiedzieć, że o najważniejszych aspektach twojego życia decyduje jakieś urzędnicze próchno?

Jeden z “Kanistrów” wyciąga zza pasa wielki nóż i wysypuje na niego biały proszek. Podsuwa sobie pod nos, pociąga. Już wcześniej był naładowany jak armata przed bitwą - jego wielkie źrenice lśniły jak czarne zwierciadła. Wskazuje mnie nożem i pyta: - No dobra, rozmontować go? Bo już długo gadacie, a pora kroić. Salo wstrzymuje go, wyciągając dłoń.

- Ostatnia szansa - mówi w moją stronę - Jesteś nafaszerowany kabelkami, plastikiem i metalem; daleko ci do człowieka. Zgor dał ci bana, ale możesz się przytęczyć do nas. Postawić się tym drapichujkom od spijania prany przez pępek. - Salo staje tuż przede mną.

- Pomożesz nam zgnieść Zgora ?- pyta.

Któryś “Kanister” wyciąga broń i wymierza we mnie. Oho, oficjalny koniec debaty. Gnat jest solidny; pewnie kopie jak koń. Wszystko w pokoju tężeje. Każdy patrzy na mnie. Ten, co wcześniej wahał z noża, robi to jeszcze intensywniej niż pozostali. Do bólu mocno. Coś się dzieje z jego oczami. Zaczynam się pocić jakbym nagle zawrzał od środka. Temu od noża wywraca białka oczu do góry. Wygląda to upiornie, ale jestem zajęty chaosem w mojej głowie. Ki chuj? Czuję, jakby ktoś wsuwał mi dłonie do wnętrza moich myśli i przeżyć, wykręcał je i wyżył. A potem jakby krajanie kory mózgowej zimnym nożem i zagładanie w nacięcia.

- Pomogę - kłamię najlepiej jak umiem. Ślinię się. Cieknie mi po brodzie; wilgoć wypływa też z nosa. Nawciągany typ przez chwilę jeszcze dryfuje gdzieś z przewróconymi oczami. Potem wraca, lekko zziębnięty. Patrzy na mnie jak na ścierwo.

- Kłamie. Nie jest tak głupi, jak brzydki, i naprawdę nie lubi Zgora, ale brakuje mu jaj. Na przemiał glonojada!

Mutant! Obwąchiwał mnie mutant. A więc istnieją. Popromienne geny rozsiały po Zgorze pewną pulę nietypowych zdolności. Władza zawsze się ich bała, ale myślałem, że już wszystkich wystali za granicę. Tymczasem skanował mnie rasowy mutant.

Patrzyłem na niego z pewną fascynacją. Chciałbym z nim pogadać. Poznać go. Niezłą bandę tu mają: wkurwione roboty i naćpani telepaci. Ci kolesie robią wrażenie. To może być sól ziemi; jakiejś nowej ziemi. Czuję, że zajrzałem tego dnia pod podszewkę rzeczywistości - nie do końca, ale głębiej niż zazwyczaj. Prawie się uśmiecham. Nagle dociera do mnie, w jakim położeniu się znajduję, i entuzjazm spada do zera. Salo waha się przez chwilę, potem rzuca do gościa z bronią:

- Strzelaj w głowę. Dokładnie. Nie ma powodu, żeby się męczył. - A do tego z wywalonymi białkami: - A ty się odłączaj. Chyba nie chcesz współdzielić umierania, co?

Bum! Trzask. Z wielkim impetem dostaję w głowę. W moją świadomość wbija się plansza:

SMS numer 1123

Status: Do szybkiego odczytania.

Nadawca: Zakład Korekty Mechanizmów i Instalacji miasta Zgor

Adresat: Karbon.

Treść: ZKMI przypomina o konieczności niezwłocznego zaraportowania statutu akcji KZX13. W przypadku niezłożenia powyższego w ciągu 48 godzin od otrzymania powiadomienia, Agent Karbon, numer 34-2321, zostanie obłożony grzywną (patrz. Kodeks Karny miasta Zgor, art. 32, ust. 2). W przypadku zakończenia akcji sukcesem Agent

zobowiązany jest złożyć w depozycie a). sztuczną powłokę, b). płytkę pamięci poszukiwanego modelu KZX13. Zgodnie z wytycznymi ZKMI po ukończeniu akcji agent zobowiązany jest przedłożyć pisemny raport wraz z dokumentacją w terminie do siedmiu dni w Dziale Rozwiązywania Problemów Robotycznych. W przypadku zranienia lub ciężkiego zranienia Agent winny jest skontaktować się z Centralą ZKMI w ciągu 24h w celu udzielenia refundowanej pomocy. Po przekroczeniu tego terminu koszt pomocy medycznej zostanie odjęty od wynagrodzenia. SMS wysłano na koszt odbiorcy.

Jebana bramka SMS! Pierwszy raz się na coś przydała. Myślałem, że odstrzelili mi łeb. A tymczasem Zgor strzelił w bramkę. Każdy ich SMS wrzyna się w mój mózg jak harpun, na chwilę jest nokaut.

Przez moment nakładają mi się dwa obrazy: SMS i wrzeszczący mutant-telepata. Leży na ziemi, a pozostali klęczą wokół niego; próbują się zorientować, co mu jest. Ja wiem. Dostał w łeb moim SMS-em. Wybuch bólu, chwilowa utrata widzenia. Zaraz się otrząśnie. Moją głową szarpie równie duży ból i ledwo wiem, gdzie jestem, ale drugiej szansy nie będzie.

Skupiam się jak płomień w palniku. Wysyłam impuls do prawej ręki. Chcę, żeby ta kupa złomu zadziałała - już, teraz! Ona nie reaguje, ale po dłuższej chwili otwiera się. Mutant na ziemi zaczyna się drzeć naprawdę przeraźliwie. On już wie, co mi chodzi po głowie, ale jest poturbowany SMS-em.

A tamci chcą mu pomóc; podnoszą tę galaretę, którą się stał. Z mojej podrasowanej ręki wysuwa się sekator. Przecina więzy. Potem szybko uwalniam obie dłonie. Obraz nadal mam obsyfiaty przebitką SMS-a.

Wstaję, ledwo idę. Pozwalam, by z ręki wysunęła się rurka numer dwa. Poruszam się jak dziad, ale człapię do przodu. Mutant, nadal leżąc i drąc się opętańczo, zaczyna wskazywać wyciągniętą ręką w moją stronę. Jego kolesie obracają się. A ja już przed nimi.

Zanim ten z bronią wymierza, bucham płomieniem z ręki. Ogień okala jego twarz; pozostali odskakują. Opiekana bużka tryska ostrymi zapachami i kolorami. Telepata nadal leży. Bużka zaczyna wyć i strzelać, rozpływać się. Bucha spalenizną; pocisk kąsa mnie gdzieś i dudni mi w uszach. Dopieszczam faceta jeszcze jednym płomieniem, a potem miotacz mi wysiada. Skwarka upada na podłogę - nadal płonie i strzela na tle SMS-a. Wdeptuję na jakieś ucho; prawie upadam. Śliskie. I moje. Świeżo odstrzelone. Poznaję po braku swojego. Dostaję kopniaka w twarz. To od Konefona. Zaczyna gruchotać mi w głowie. Konefon

wyskakuje w powietrze i chce mnie kopnąć ponownie, ale chwytam go za but i posyłam na ziemię. Następuję mu całym sobą na splot słoneczny - i oczy ma nagle jak balony. Czekam aż impuls z mojej głowy otworzy śmigło w ręce. Leci chyba z tysiąc lat, ale wysuwa się. W międzyczasie gdzieś z tyłu nadlatuje nóż i wbija mi się w plecy; chyba pod łopatką. Rurka numer trzy wysunięta. - Średnica 10 centymetrów! - ryczę, wciskając śmigło w twarz Konefona. - Domowa robota!

Oczy podrażnia mi dym - niczym lotny papier ścierny. Bryzga na mnie płynnym Konefonem, zalewa mi oczy i usta.

- Jeszcze jakiś kawał w zanadrzu? - syczę.

Wtedy spada na mnie sieć. Salo i jego kumpel zarzucają na mnie jakąś mechaniczną siatkę pod prądem. Zaczyna mnie dźgać. W stu miejscach naraz kłanianie prądu. Padam na kolana, wyję. Zrzucić się nie da. Miotam

się jak ekstremalna parodia ducha. Śmigło nadal chodzi, więc tnę sieć na kawałki. Łykam przy okazji jakieś syntetyczne włókna i iskry, a nozdrza wypełniają się dymem. Mózg od razu skwierczy od tych spalin. Wyskakuję z sieci. Piła nadal działa...

- Flety zgrzybiałe! - Rzucam się na Salo i jego kumpla. Jak taran. W sam czas. Ten drugi właśnie odbezpiecza karabin wyglądający jak gitara elektryczna. Padam na nich całym ciałem, krwawiąc, wyjąc, tnąc na oślep. Przewracamy półkę z butelkami piwa. Teraz płyn rozlewa się po całej podłodze. Leżę na glebie, cały w piwie i w krwi. Przecinam karabin w pół - w rękach tego kolesia. Potem ostrze testuję na nim. On okłada mnie butelką po zębach. Obaj ryczymy jak łosie; jednocześnie widzę, jak Salo nerwowo szuka broni po pokoju. Nie ma oka. Pewnie postrzeliła go płonąca buźka. Kiedy dopił - wuję jego kumpla, skaczę w ślad za nim. Jednocześnie

dostrzegam, jak z boku mutant uruchamia coś, co przypomina elektryczne nożyce do żywopłotu. Skaczę w jego stronę z parującym śmigłem.

- Cięcie!



Idę ulicą z kępkami włosów usztywnionymi krwią i piwem. Już wiem, jak umierają mutanty. Jak każdy! Wiem też, jak wygląda farsz myślących i czujących robotów. Jak wnętrze pralki. Tylko że pralki nie wszczynają buntu, a ja właśnie dokonałem efektownej dekompozycji człowieka, który... Nie, nie człowieka. Robota. Ale jakiego! Salo mógł coś zmienić, a ja go rozprułem.

Nie chcę wracać do domu. Podkręciłem się proszkiem, który wygrzebałem z ziemi pod tym, co kiedyś było telepatą. W piwnicy znalazłem kilka sztuk broni. Jeden karabin zabrałem ze sobą. Po wyjściu z pomieszczenia wyszedłem na zaplecze Kawonu. Zastrzeliłem parę osób. Może ludzi, może mutantów, a może robotów. Co za różnica? Nie ma to znaczenia nawet gdyby miało się okazać, że byli to specjaliści Zgoru. Nie wiem, kim byli, ale to oni otworzyli ogień. Nie zastrzeliłem

dziewczyny, którą zaczepiał Konefon. Nie umiałbym. Zresztą nie miała broni, a może i nawet - żadnego związku z całą tą jatką. Patrzyła rozmyto-skupionym wzrokiem, jak wychodzę w oparach po rozpierdusze. Trochę w szoku, trochę zalana, ale nadal smutna.

Nie mam jednego ucha; słyszę tylko w połowie. Zmiętą gazetę - "Żyzne gleby szczęścia" - przykleiłem taśmą do ubytku. Całość powiewa mi teraz jak zadziorny żagiel. Idę świętego Stinga, żłowiąc piwo. Potem świętej Enyi, ale trwa tam wystawa kotów, więc szybko omijam tę szopkę - i już wbiegam na deptak.

Przyjemny wrześnieowy wieczór. Jest dość ciepło. Powietrze rześkie; wieje. Trwa winobranie, więc deptak pełen ludzi. Stoiska po obu stronach. Święte medaliki, święte pismo, stabilizatory energetyczne, wisiorki;

białe buty, białe kapcie, białe stroje do sportu, modlitwy, postu i rozjaśniacze włosów. Modlitewniki, czopki nastroju, wspieracze szyszynki, elektroniczne zestawy do stawiania horoskopu, owocowe ciasta i wino. Dużo wina. Tyle że to wino bezalkoholowe. Smakuje jak słodki ocet, ale podobno nie zaburza równowagi kwasowo-zasadowej. Pomiędzy stoiskami przesmyk, którym walą tłumy. Od lat takich nie widziałem. I nie szedłem tędy. Mam zakaz. Ale dziś - jak dla mnie - nie obowiązuje. Na grzbiecie targam plecak podróżny, a w nim karabin. To mój bilet wstępu dokądkolwiek. Płaszcz mam uwalony brudem, ale nie jakoś dramatycznie. Za to twarz... Pewnie jest jeszcze bardziej wyrazista, niż zazwyczaj. Tłumy w lnianych i pseudo lnianych ciuchach. Biel, beże, szarość. Patrzą na mnie; pewnie, że patrzą, te wszystkie rodzinki i parki. Krzywią się, ale zaraz włączają im się uśmiechy - perłowobiałe w tych białych główkach. Bo

wszyscy jesteśmy farbowani, tlenieni czy w inny sposób - fabrycznie blond. Wszyscy od lat. Dzięki temu czyści także w sercach. I połączeni międzygatunkową miłością z kotami. Te bezczelne futrzaki są wszędzie. Idą luzem przy właścicielach lub zapięte na ledowych smyczach. Roi się tu od nich. Trzeba uważać pod nogi.

Na szczęście nie wzbudzam aż takiej sensacji, jak przypuszczałem. Winobranie. No tak, Zgorzanie biorą mnie za część... atrakcji. Jakiegoś teatru, muzycznego show, jakieś obrzyganej spierdoliny z funkcją artystycznego doładowania każdej rodziny i każdej komórki ciała.

Po prawej mam budynek z Panoramą Racławicką. Nigdy tam nie byłem. Przywieźli ją trzy lata temu w ramach akcji "Zgor brylantem świata". Gdzieś tu w centrum są też jakieś trykające koziołki i kościół

Mariacki. Mają też postawić Pałac Kultury na osiedlu Piastowskim i wieżę Alfa na Leśnym. Przedostają się na rynek. Z rozmów dookoła wnoszę, że niedługo pojawi się na scenie Pani Prezydent. Ta drobna kobieta wygrała wybory rok temu po tym, jak jej książka - "Miąższ pstrokatej myśli" - okazała się najbardziej wyczerpującym przewodnikiem po świecie uprzejmości i drobiazgową instrukcją na temat przygotowywania przyjęć-niespodzianek oraz zdobienia kwiatami uroczystości rodzinnych. Ujęła też swoich czytelników ciepłym, głęboko ludzkim i liberalnym podejściem do kwestii zastawy stołowej. Wcześniej oddawała się fryzjerskiej pasji w gronie znajomych. Tłum czeka, ja też. Tłum śmierdzi; ja pewnie też, choć nieco inaczej niż oni. Pałitem dziś ludzi i zamieniłem piwnicę w rzeźnię, ale tu, w centrum, naprawdę cuchnie. Pewnie połowa zgromadzonych używa elektronicznych kadzidełek. Wszystko jest

spowite obrzydliwie słodką mgłą. Prezydent wychodzi na scenę. Przepycham się przez tłum - sam nie wiem, po co. Pani Prezydent pozdrawia Zgorzan. Uśmiecha się. Macha. Do piersi tuli kota. Nowy model. Majstersztyk sztuki genetycznej. Nie chodzi własnymi drogami, ciągle się tuli. Gładsza sierść, dorodniejsze “miau”. Nie drapie i nie rozsypie ani grama żwirku.

- Sok twój dojrzały słodzi mi dzień cały - mówi prezydent, w czym wtóruje jej tłum. - Zanim przejdę do modlitwy chwalebnej za plony tego roku, kapka polityki. Ledwie muśnięcie, obiecuję. Strajk bibliotekarzy, który sparaliżował Zgor, został zażegnanyyyyyy! - Unosi ręce w geście triumfu. Tłum wyje z radości. Jakiś facet stojący blisko mnie zaczyna implodować na twarzy. Czuć mnie piwem i krwią. Typ jest poważnie zaniepokojony. Chce zniknąć z mojej orbity. Wcześniej jednak nie daje rady i obrzuca sobie białe buciki.

- Z pomocą łaski Wingrona uzyskaliśmy porozumienie, które zakończyło ten rozdzierający konflikt. Wysyłam wszystkim kwadrony radości i pulsary pluszu. - Pani Prezydent przypomina mysz i ma piskliwy głos. Patrzą na tę tępo rozanieloną twarz; nie powierzyłbym jej worka obierzyn po ziemniakach. Ktoś powinien ją stamtąd zdjąć. I dociera do mnie, że to właśnie Salo był gotów zgnieść te żałosne rezydua kłębiące się w Zgorze. Jestem teraz zdrowo nafurany, więc nie umiem się zanadto biczować. Ale, do chuja! To, co się dziś wydarzyło, będzie mnie gnębiło po nocach, o ile ten popieprzony wieczór kiedyś się skończy.

- Pulsujemy zgodnie z rytmem wszechświata! - zawodzi pani Prezydent, a tłum wiwatuje. - Konflikty rozwiązujemy poprzez jednię naszych myśli, potrzeb i wspólnotę w gęstym soku Wingrona!

Dość mam tych bzdur. Próbuje wyrwać z ochującej masy. Pcham się. Chyba powarkuję. Fukam na jakiegoś dzieciaka; ten chowa się za rodzicami. Idę jak lodota-macz. Patrzę w niebo. Jest pełne gwiazd i przejrzyste. To pomaga się uspokoić. I deptać trzy razy więcej osób po drodze. W końcu wychodzę z tłumu. Zaczynam oddychać łapczywie. Jestem cały spocony. Czuję na plecach swoje lata. Czuję wszystkich tych, których musiałem dziś zabić. Zwalam się na ławeczkę, na której siedzi troje nastolatków. Od razu pęka deska. Gówniarze wyglądają jak białe czopki z całym naręczem certyfikatów; chyba nie posiadają rysów twarzy. Milkną, a ja patrzę, jak nad miastem helikopter służb komunalnych rozpyla w powietrzu różowy proszek do odkażania ulic. Walczą z radioaktywnością, robactwem i wirusami.

Nagle dostrzegam robo-gliny. Są kilkadziesiąt metrów ode mnie i zbliżają się. Wiem, że chodzi o mnie, choć próbują się czaić. Mają na sobie jakieś dziwne białe uniformy i czapeczki ze wzorem uśmiechniętej kiści winogron. Jest ich kilku. To tępe maszynki, model ASS-007, ale strzelać potrafią. Zaczynam biec. Wpadam na ludzi, przewracam mężczyzn, kobiety i dzieci. Niektórzy piszczą już na sam mój widok. To poprawia mi nastrój. Śmiejąc się, wyciągam karabin. Wiatr - nadal dość ciepły - pieści moją łysinę i rozwiewa mi płaszc. Puszczam serię wstępną w drewniane stoisko pełne holistycznych balonów astralnych. Namaszczona przez duchowieństwo sprężarka - wynoszona w dniu przesilenia ponad atmosferę - pompuje je dwa razy do roku podczas najważniejszych świąt. Pozwalam sprzedawcy skoczyć na główkę do sąsiedniego stanowiska (Kryształy Oczyszczające - nerki, jelita, relacje z pracodawcą)

i sieczę jego budkę siarczystą serią ołowiu. Ze sto baloników pęka, sporo wzlatuje w powietrze wraz z drzazgami. Jest pełno dymu i krzyku. Jakiś Zgorzanin zbiera rozstrzelane strzępki balonów, szlochając rzewnie. Czuję moc i zadowolenie. Więcej we mnie endorfin niż gwiazd na niebie. Głowę mam uniesioną dumnie. Dawno się już tak nie czułem. Może nawet nigdy.

Potem rozpieprzam stoisko z ceramiką, której wibracje są zestrojone z promieniowaniem Saturna. Ceramika znika. Połączenie zostaje przerwane. Pędzę. Coś skrzy się na moim bucie. Coś, co było kotem? Wbiegam do budynku Panoramy Racławickiej z dymiącą lufą. Łysy facet chwyta mnie za rękę, chce, żebym zapłacił, nie brudził sobie karmy rozbojem. Odpycham go dłonią, wypuszczając z niej sekator. Łysy ze strachu kica na bok, przeskakując nad gablotką z pamiątkami dla gości

obiektu. Wbiegam na ekspozycję. Zwiedza ją - po okręgu - wielu ludzi. Jest jasno, sucho i czuję się zachęcony do oglądania dzieła. Zwiedzający, widząc mnie z karabinem, zaczynają krzyczeć. Ja, widząc obraz, cmokam z uznaniem. Jest naprawdę niezły. Ludzie uciekają, modląc się i lamentując.

- Zaprzestań terroru - błaga mnie jakaś kobieta o twarzy przejętego kurczaka; nie chciała albo nie zdążyła uciec. Widzi, że odpadł mi opatrunek - czarna dziura zamiast ucha powoduje u niej poważny dysonans estetyczny. Oczy wychodzą jej z orbit. Powoli unoszę prawą rękę. Odstraszam ją skromnym językiem ognia, sikając nim pół metra przed jej nosem. Teraz spierdala. I dobrze, bo płomień już znikł.

Wpada czterech gliniarzy. Zaczynają strzelać. Ja też. Szatkuję dwóch. To dziwne, ale faktycznie przykro jest

rozwalić gliniarza z radosną kłasią na głowie. Trzeci wyciąga strzelbę zza pleców. Naparza. Lecę w dół w kuli bólu i zamętu. Spadam na brzuch - tak, że potem rezonuje mi długo w bebechach. Leżę z piachem w ustach, stękam. Odłamki betonu i drewna spadają mi na ciało. Czuję się jak węzeł bólu - poskręcany do granicy wytrzymałości. Oberwałem w biodro i wylądowałem pośród jakichś dziwnych sprzętów i skarłatych drzewek. Gлина z góry celuje we mnie i strzela. Iskry nad oczami; coś grzmi w mojej głowie. Trafiło w port SMS-owy. Próbuje go wymacać; został tylko strzęp, który wbił mi się głębiej w czaszkę - tak że krwawię teraz z nosa. Zaczynam widzieć na różowo, ale to detal. Muszę się zająć gliną. Trafił mnie już dwa razy, więc jest już denatem. Koniec pierdolenia.

Strzelam w gliniarza i obrywa w brzuch. On pruje dalej i trafia paru facetów z kosami za mną. Robi w nich wyrwy

wielkości pięści. Potem pada. Krew cieknie mi po twarzy. Dociera do mnie, że straciłem część czoła. Wyciągam z płaszcza wódkę zabraną z Kawonu po napierdalance. Wylewam ją sobie na twarz i brzuch. Zaczynam syczeć. To mnie otrzeźwia. Kładę się na chwilę pod armatą. Broń trzymam obok siebie. Patrzę na krzyż, pod którym trwają jakieś modły. Obok mnie rachityczne drzewa. Kawalek dalej tłum facetów z kosami. Są różowi. Wszystko jest różowe. Dziwny wieczór, ale piękny. Zrobiło się przyjemnie cicho. Leżę całym ciężarem siebie i czuję, że mógłbym tu zostać choćby i całą noc. Tu, na tym dziwnym piasku, z szalejącą bitwą dookoła. Palcami dotykam szarej deski obok mnie. Przyjemnie chropawa. Patrzę na różowy, ale nadal piękny obraz. Nie oddaje energii starcia, chaosu śmiertelnej walki, ale przynajmniej coś się na nim dzieje. Już dawno nie widziałem obrazu, na którym byłoby coś innego niż gejzery jasnych, ciepłych snopów energii

strzelającej z dup uśmiechniętym ludziom. Dopiero teraz dociera do mnie, że w tle słyszeć komentarz do bitwy, sączący się z głośników.

- ...co zawsze jest złym rozwiązaniem. I nawet bohater-ska postawa kosyniera nie zmienia faktu, że przemoc uwłacza każdemu, kto urodził się pod naszym życiodajnym Słońcem. Twój sok wewnętrzny służy do tego, byś go pomnażał. Byś się nim dzielił. Dbaj o Zgora. Dbaj o siebie i o bliskich. Uśmiechaj się i wybacжай... Biorę tyk wódki. Gdzieś w tle słyszeć jeszcze ciche wyładowania w pogruchotanych robo-glinach. Z brzucha zaczyna mi coś wyływać, ale ból jakby się oddala. Obserwuję szabelki, konie, niebo nad bitwą. Jest mi błogo i wiem, że już niedługo zainstaluję sobie w ręce kosę. Przy moim trybie życia - rzecz niezbędna.

Tymczasem znowu zbliżają się robo-gliny. Jest ich całkiem sporo. Mają ze sobą "Szprycera" - myślący czołg o wielkiej sile rażenia z procesorem na bazie rozwiązań z przemysłowego odkurzacza. Naprawiałem tego kłoca już parę razy. Teraz mogę przerobić go na kapsle. Wzdycham, bo trzeba jakoś wstać. Podnoszę się na nogi, wspierając się karabinem. Przeładowuję i zaczynam mój taniec.

- No dobra, piździelce - mówię spękany ustami.
- Niech każdy robi to, do czego go stworzono. -
Przeładowuję broń. Jestem gladiatorem na sterydach; podrasowanym chemicznie prztyczkiem w wasz wypudrowany nos. Wyślijcie ze sto robo-konserw. Możecie mi naskoczyć. Wejdę na każdy szczyt i odgryzę mu wierzchołek. Rozpierdolę każdy rodzinny piknik. Podpalę wszystkie winne grona i będę patrzył, jak krwawią, strzelając sokami. Wyleję się do każdej zdrowej

zupki, spijanej w imię detoksykacji, epatowania zdrową cerą i brakiem robaków. Nie chcę wojny i zabijania, ale karty są już rozdane i jedyne, co mi zostaje, to zamienić się w parującą niszczarkę. Włączam “play” i ruszam do roboty. Jestem tam, gdzie trzeba. Robię to, co muszę. I mam zamiar dobrze się bawić.



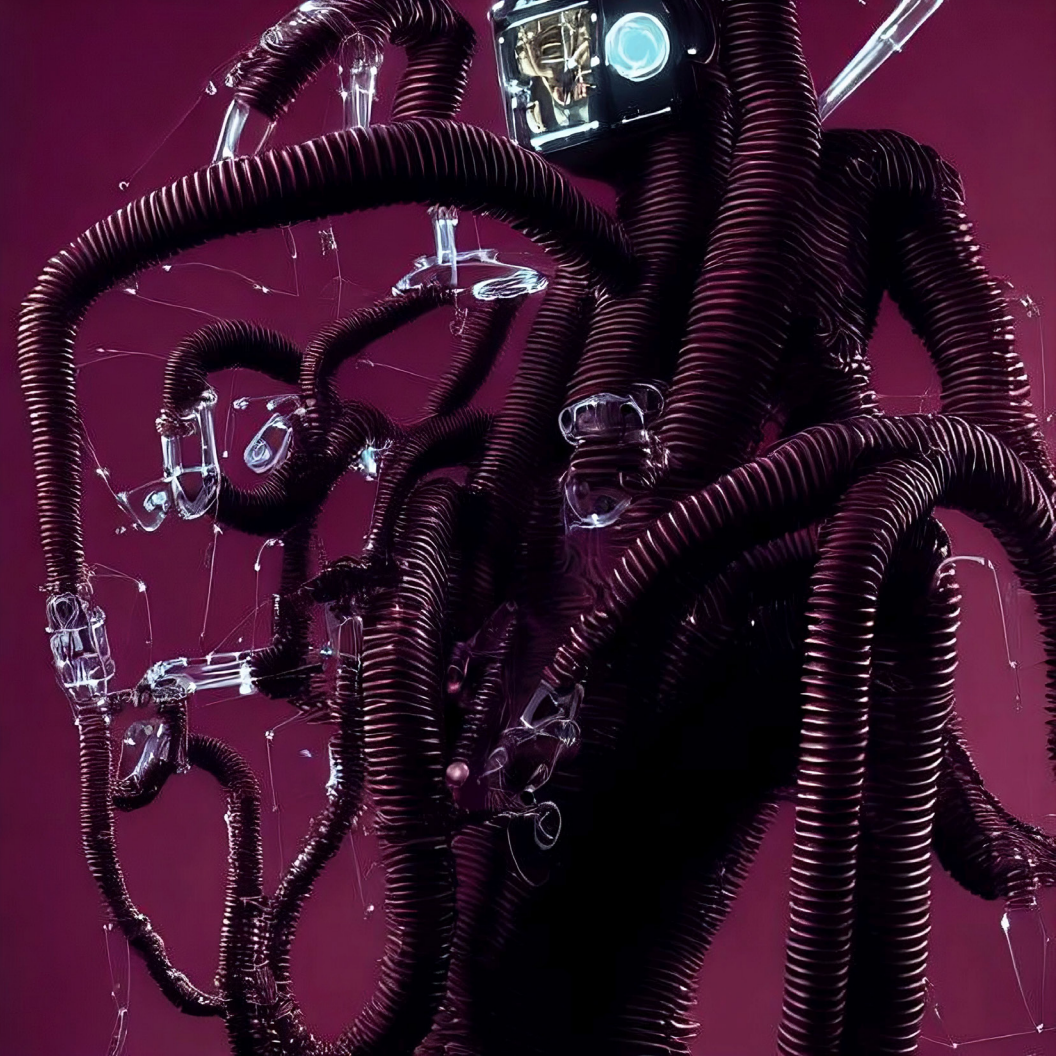
Tomasz Bot – pisarz, dziennikarz zajmujący się wcześniej kinem niszowym i groszowym, a niekiedy popularnym; grafik, fotograf-amator, kaskader codzienności i prawdziwy Bot. Zamienia słowa w obrazy i obrazy w słowa. Rejestruje i przetwarza. Podśłuchuje i podgląda. Fan kina SF, VHS-owej klasy B, ale też twórczości Davida Cronenberga, kina Noir, Acid i Spaghetti-Westernów, niszowej muzyki elektronicznej, glitchu i innych zjawisk wyrazistych. Popkulturowy komandos potrafiący przetrwać w dżungli nadmiaru. Nie dzieli na Niskie i Wysokie. Wierzy w moc szczerych aktów twórczych, D.I.Y. i że warto popełniać błędy.



„**Biotektor**” – opowiadanie Tomasza Bota z 2017 roku wystane na konkurs literacki zielonogórskiego klubu fantastyki Ad Astra i wydane w antologii opowiadań „Fantazje zielonogórskie”. Zapomniane przez twórcę, szybko przechodzi w tryb OFF. Zrośnięte ze swym bohaterem siecią uszczerbków i niedomagań, dostaje szansę na reaktywację. Na bycie najlepszym z możliwych wariantów siebie. W roku 2021 – w świecie nieoczekiwanie postapokaliptycznym – powraca. Pył z pancerza zostaje zdmuchnięty przez Bartłomieja Kuźniaka – kompozytora-instrumentalistę, producenta muzycznego, inżyniera masteringu. To on staje się producentem i reżyseruje nowego “Biotektora” dodając okładki muzyczne. Dygresyjny sposób pracy i eksperymentowanie z materiałem tekstowym w sposób pozbawiający go treści, ale za to eksplorujący możliwości muzyczne mowy doprowadził do powstania instalacji wielogłosnikowej karmionej

“Biotektorem”. Tekst zrodzony niegdyś z obrazów i myśli, a potem słowa pisanego, teraz wybrzmiewa jako zjawiska audio. Twardszy i ostrzejszy, staje się symfonią kulek łożyskowych przegryzanych tytanową szczęką. Jest nowym bytem – zarówno jeśli idzie o formę, jak i kwestie fabularne. Mocniej chwyta w stalowy uścisk. “Biotektor” powróci w częściach. Kolejnych.

Przedstawione poniżej prace są stopklatkami clipu do utworu otwierającego audiobooka „Biotektor”, czyli [B333 „Biotektor In”](#). Ich autorem jest Bartłomiej Kuźniak.













Studio 333 Achives

s333a002

<https://studio333.net/biotektor>

<https://studio333.net/archives>

Creative Commons License

Zawarte w tej publikacji prace tekstowe, zdjęciowe i dźwiękowe są chronione licencją Creative Commons Attribution-NonCommercial-NoDerivs 3.0 Unported License.